



KV WOLNEJ POLSCE



TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WCHODZIE

M. p. niedziela, 24 maja 1942 r.

Rok III Nr. 19 (396)



EPOPEA WALK POLSKICH

(Fragm. pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu)

TREŚĆ NUMERU

- Obrona „instynktu walki“ *J. M.*
Idziem do Ciebie — Wiersz *Janusz Wedow*
Z bojów Karpackiego Pułku
Artylerii *Wacław Sikorski*
Kronika W.P.Ś.W.
Prezydent Rzeczypospolitej
do Żołnierzy W.P.Ś.W.
Odnalezieni w Z.S.R.R.
Naszymi Drogami przez Saharę *Jerzy Kijewski*
Czy Niemcy użyją gazów
bojowych? *Antigasus*
Gaz i oferty pokojowe
(Tygodniowy przegląd wydarzeń) *D. I.*
Ślepy tor ukraińskiej polityki *J. T.*
Filmy obozowe
Egipskie wspominki *Mr.*
Humor angielski
Zawiadomienia Sekcji O. i K.
Poszukiwania
Odpowiedzi Redakcji

Żołnierze Polscy po przybyciu z Rosji



Przed nowym umundurowaniem



W drodze na kwatery

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 24 maja 1942 r.

Rok III Nr. 19 (396)

OBRONA „INSTYNKTU WALKI”

Mały kotek bawi się gałgankiem, popycha go przed sobą, czai się i nagle skacze wbijając w szmatkę ostre kły. Gałganek jest myszą, kotek bawi się w polowanie, które gdy dorosnie, będzie głównym jego zajęciem. — Zabawa jest najstarszą szkołą, szkołą natury, która istnieje od wielu setek tysięcy lat. Mały lew bawi się staczając walki ze swoimi rówieśnikami, mała małpka uczy się skakać po drzewkach, piesek w zabawie przygotowuje się do trybu życia, jaki go czeka, gdy dorosnie.

A jak bawi się człowiek?

Tematem niemal wszystkich zabaw chłopców jest walka. Któż z nas nie bawił się w wojsko, któż z nas nie wywijał drewnianym pałaszem, nie strzelał z procy? A czymże jest sport bokserski, mecze piłki nożnej, szermierka itd., jak nie formami walki. — Ledwo odrośnie od ziemi taki kilkuletni „szczeniak“ ludzki, a już marzy o broni, o pistolecie choćby na kapsle. I dzieje się, że ów ludzki „homo sapiens“ wojuje całe dzieciństwo, a potem, gdy dorasta, sadzają go za biurkiem, przy którym pracuje aż do emerytury. Nie ma już nic wspólnego z walką, z bronią — z wojowaniem.

Cywilizacja, jaką wytworzyliśmy, charakteryzuje się m.in. zredukowaniem wielkości i częstotliwości strachu odczuwanego dawniej oraz umniejszeniem cyfry okazji walki. Pokój jest wynalazkiem cywilizacji — jeżeli wolno się tak wyrazić. W odległych epokach stanem normy była wojna. Pokój należał do krótkotrwałych stanów wyjątkowych. Człowiek pierwotny całe swoje życie żył na stopie wojennej. Stan ten trwał setki tysięcy lat, jeżeli się zważy, że nauka współczesna sądzi, iż pół miliona lat temu na ziemi istniał już człowiek. Lecz i cywilizacja nie wprowadziła w ten bieg rzeczy rewolucji. W epoce średniowiecza bezpieczeństwo osobiste trzeba było organizować na własną rękę. Dopiero czasy nowożytne przynoszą szybki wzrost bezpieczeństwa i stabilizację stosunków. Człowiek nie musi myśleć o organizowaniu obrony siebie i swej rodziny — nie może też bezkarnie napadać na innych.

W pewnym momencie, który trudno ustalić, mineliśmy rzekomo punkt zwrotny. Instykt walki, który dawniej był tak konieczny — zaczął słabnąć, a wielu uczonych, choćby wymienić amerykańskiego autora Howard Moore, głosi prawidło, że cywilizacja współczesna niesie z sobą automatyczne niejako słabnięcie instynktu walki. Zaczodzi teraz pytanie: czy istotnie postęp na drodze cywilizacji nieść z sobą musi zanikanie instynktu walki? Czy instykt ten jest nam zbyt konieczny, jak np. wyrostek ślepej kiszki, który to organ pełnił kiedyś ważną funkcję w naszym organizmie.

Czym w istocie swej jest instykt walki? Jest to jeden z najmocniejszych wrodzonych nakazów w naturze człowieka. Pokrywa się on z wolą życia, wolą trwania, wynika

logicznie z postulatu podstawowego wszelkiego żywego istnienia — instynktu samozachowawczego.

Obserwacje, czynione w czasie bieżącej wojny, pouczają nas, że narody wysoko cywilizowane (jak np. Francja) wykazały duży stopień degeneracji, wyrażający się zanikiem woli trwania, rozwoju i życia. Degeneracja nie może być celem żadnej cywilizacji, żadnego procesu ewolucyjnego — gdyż degeneracja jest ruchem wstecznym, ruchem ku zagładzie.

W chwili obecnej ogólnego rewizjonizmu, w momencie, gdy toczy się jedna z największych wojen świata, między innymi i o wartości określane mianem cywilizacji Zachodu — zdać musimy sobie dokładnie sprawę z linii rozwoju tejże cywilizacji, której bronimy. W wypadku przeciwnym cywilizację zachodnią spotkać by mógł los Rzymu, który rozłożywszy się wewnętrznie, nie zdołał już wydobyć z siebie sił koniecznych do obrony przed zalewem barbarzyństwa.

Bieg faktów od pierwszej wojny światowej do chwili obecnej uczy nas, że cywilizacja nasza w ewolucjonizmie swym zawiera pierwiastki wiodące do samounicestwienia. Ułatwienie życia, wolność osobista, swoboda słowa — wszystko to są zdobycze demokracji, zdobycze nie tylko t.zw. szerokich mas, lecz również jednostki w walce z ogółem, z ciężarami na rzecz ogółu. Cechą kardynalną doktryny demokratycznej były i są od „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela“ przywileje i swobody indywidualne, które dąży do mitu owej „prosperity“, wyrażającej się w formie życia najludkratycznej i najłatwiejszej. W ekstremach linia takiego rozwoju prowadzi do uwiadu poczucia wspólnoty narodowej, do niebываłego wzrostu egoizmu jednostkowego, do rozluźnienia stosunku do państwa, do parodii nowoczesnej „umowy społecznej“, do anarchii. Nie bójmy się słów. We Francji w czerwcu 1941 panowała całkowita anarchia, dopiero po niej nastąpiła klęska militarna.

Tylko w tym sensie ma rację Howard Moore i inni badacze, hołdujący opinii, że cywilizacja nasza prowadzi do zaniku instynktu walki. Walkę podejmuje się bowiem tylko w obronie cennych i drogiej wartości. Każdy z tych Francuzów, który nie chciał bić się za Francję — napadnięty w ciemnej ulicy przez bandytę broniłby swego życia wszystkimi stojącymi mu do dyspozycji środkami. Wydaje się nam zatem, że egoistycznie, jednostkowo pojęty instykt walki, postulowany przez instykt samozachowawczy, nie zmalał w człowieku cywilizowanym. Karleje natomiast ów instykt walki wyższego rzędu, który nakazuje podjęcie wysiłku bojowego i ofiary na rzecz ogółu — narodu — państwa. Czyżby zatem należało wysunąć wniosek, że cywilizacja niesie z sobą zanik zmysłu państwowego, zanik patriotyzmu, czy poczucia wspólnoty narodowej? Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że cywilizacja nasza nie wytworzyła żadnych realnych form życia międzynarodowego. Nie możemy zatem odrzucać życia narodów w ra-

mach państw, odrzucając bowiem tę formę nie dajemy w zamian żadnego innego modus vivendi społeczeństwu.

Niemieccy pisarze hitlerowscy nie taili, że ich Fuehrer liczył w swych grabieżnych kalkulacjach na „strupiesznie“ demokracji Zachodu. Co przez to Niemcy rozumieli? Sądzili, że narody Zachodu są tak „przecywilizowane“, że nie zechcą podjąć walki, tak jak do roku 1939 nie chciały podjąć ciężarów finansowych na zbrojenia swych państw. Hitler liczył na uwiad zmysłu wspólnoty narodowej, na skarlenie instynktu walki. Co do dwóch największych demokracji świata t.j. angielskiej i amerykańskiej, Hitler ponilił się sromotnie — w stosunku do Francji jego diagnoza była całkowicie słuszną.

Francja, którą przez dziesiątki lat uważaliśmy za wykwit naszej zachodniej kultury i cywilizacji — winna posłużyć wszystkim narodom za tragiczne memento. Tą drogą iść nie można — linia takiej ewolucji wiedzie prosto ku katastrofie.

Instynkt walki rozkłada się na dwie składowe: instynkt agresji i obrony. Odnosi się to zarówno do jednostek jak i do narodów. Wydaje się nam, że rozwój cywilizacji winien iść w kierunku tępienia agresji — natomiast zanikanie zmysłu obrony — jak miało to miejsce np. we Francji — zawsze będzie oznaką degeneracji, oznaką biernej postawy wobec kardynalnej kwestii „be or not to be“ („być albo nie być“).

**

Wnioski, jakie należałoby wysnuć z całości naszych rozważań, są następujące: ponieważ osłabienie więzi między obywatelem a państwem, kolizje krótkowzrocznie pomyśla-

nego interesu jednostek z racją i potrzebami państw, doprowadziły do drugiej wojny światowej — po zwycięskim zakończeniu obecnych zmagani nastąpić winna konsolidacja wewnątrz organizmów państwowych i wzmożenie zarówno poczucia narodowego jak i instynktu obrony. Szukanie nowych form życia międzynarodowego i dążność do eliminacji konfliktów zbrojnych nie może odbywać się na koszt osłabiania, drogą fałszywej pacyfistycznej propagandy, poczucia państwowego i narodowego. Tak pojmowany pacyfizm dał nam bowiem w rezultacie największą z wojen światowych.

Ciężki, pełen tragicznych nieporozumień okres 1918-1939 uczy nas, że do wyższych form życia międzynarodowego wiedzie droga powolnej i żmudnej ewolucji. Pierwszym krokiem muszą być dobrze zorganizowane państwa — być może następnym będą federacje. W pierwszym rzędzie jednak narody muszą ustalić pewien zasadniczy pogląd na sprawy wewnętrzno-ustrojowe. Tylko zdrowe, dobrze zorganizowane i sprawiedliwie rządzone państwa oraz świadome swych przeznaczeń narody zdolne będą dźwignąć się na szczybel realnej organizacji międzynarodowej. Myśl o jakimkolwiek „brataniu ludzi“ jest nierealną mrzonką, gdyż podmiotami przyszłych ustrojów międzynarodowych, jakiegokolwiek one będą, mogą być tylko narody — państwa, a nie jednostki. Pełnowartościowy naród, na którym oprzeć się ma, jako na jednym z członów, dalszy postęp świata, nie może wykazywać żadnych cech degeneracji i gotów być musi zarówno do pozytywnej współpracy z innymi narodami jak i do ofiar na rzecz obrony swych praw i ziemi.

J. M.

IDZIEM DO CIEBIE

Motto:

...Idziem do Ciebie, ziemio, Matko miła,
By upaść czołem na Twoje zaprosze,
Nie jeno liczba my — ale i Siła.

M. KONOPNICKA

*Z wilgotnych grobów więzień, z dróg rozmiękłej gliny,
z ogromu ciemnych lasów, ze stepów bezbrzeżnych,
z kolczastej, zardzewiałej drutów pajęczyny,
z północy mroźnej, z pustyni bezludnych i śnieżnych
idziem do Ciebie...*

*Ze smutku gdzieś bezdroży, z rozpaczny otchłani,
z tęsknoty długiej nocy, z nadziei przedświt,
w pożarze serca, bladzi, w tachmany odziani,
z przepaści nagłych zwątpień, z wiary skalnych szczytów
idziem do Ciebie...*

*Z podziemi czarnych kopalń, ze świata gdzieś końca,
z pogrzebu dni koszmarnych i z kirów żałoby,
z tej ziemi wiecznej nocy bez blasku, bez słońca,
gdzie braci naszych świeże bez krzyży śpią groby
idziem do Ciebie...*

*Po obcej ziemi szarych, rozległych bezmiarach,
jak burzy nadchodzącej wichrowe westchnienie,
przez trudy i ZWYCIĘSTWO, z tęsknotą w sztandarach,
w pochodniach serc płonących niosąc WYZWOLENIE
idziem do Ciebie...*

*Z oczyma, z których dawnych wionie dni pokuta
i w których jeszcze kraty zostawiły cienie,
z twarzami, które cichych też porły dłuta,
lecz z duszą przez młodości zajętą płomienie
idziem do Ciebie...*

*Jak w długiej zimie lodem zakute strumienie
spływamy wartkim prądem z wygnania oddali,
gdy nowej wiosny pchnęło do życia nas tchnienie,
tączymy się w nurt rzeki i w wezbranej fali
idziem do Ciebie...*

*Zbieramy się w tysięcznym, mocnym nóg tupocie,
rośniemy w chmurę zbrojną bagnetów piorunem,
w ulewę twardej stali — i w czołgów warkocie
i w srebrnych pod błękitem śmigieł gdzieś poszumie
idziem do Ciebie...*

Z Bojów Karpackiego Pułku Artylerii

Stosunkowo mało ukazało się na łamach prasy wiadomości o działaniach Karpackiego Pułku Artylerii w czasie 10-miesięcznego jego pobytu na froncie w Pustyni Zachodniej. A trzeba przyznać, że artyleria nasza miała rolę odegrała w akcji Brygady Karpackiej.

Na podstawie zebranych informacji postaram się uwytknąć czyn naszej artylerii od chwili wyruszenia S.B.S.K. na front.

Praca artylerii w stosunku do innych rodzajów broni jest może na zewnątrz mało widoczna i nieefektywna. W przeciwieństwie do piechura, żołnierza broni pancernej czy też lotnika, artylerzysta ma znacznie mniej okazji i możliwości wykazania się osobistą odwagą czy męstwem. Ież jednak praca artylerzysty wymaga dokładności, mroźniejszej pracy, wykresów, szkiców, obliczeń matematycznych — nie mówiąc już o konieczności utrzymywania broni w stałej czystości, kopania działobitni, jakże często w tak trudnym, jak w Tobruku czy pod Gazalą lub Bardią, kamienistym terenie i nierzadko pod ogniem.

Artylerzyści mają w duchu pretensję do tej broni, która nie pozwala im na zaprezentowanie ich osobistych walorów bojowych — są jednak do niej bardzo przywiązani, wprost zakochani. Boć przyznać trzeba, że w skutkach swych broń to zabójcza, oddająca jakże często nieocenione wprost usługi czy to w obronie czy w natarciu. Wie o tym dobrze i piechota, wiedzą również żołnierze broni pancernej i respekt czują dla tych kolosów żelaza, bez pomocy których niejedno najbardziej brawurowe natarcie spełzło by może na niczym lub też narażiło oddział na poważne straty.

Karpacki pułk artylerii początki swe bierze, podobnie jak i cała Brygada, w Syrii.

Zacznąć musiano wszystko od nowa. Dnia 22 maja 1940 r. otrzymała artyleria nasza pierwsze działo francuskie dla celów szkoleniowych. Było to wydarzenie dnia.

29 czerwca tegoż roku — po znanych wypadkach, opuszczając artyleria Syrię, przechodząc do Palestyny, a stamtąd do Egiptu, gdzie rozpoczęła się właściwa praca wojenna.

W dniu 4 grudnia 1940 r. — dniu św. Barbary, patronki artylerzystów, nastąpiła reorganizacja dywizjonu na Karpacki Pułk Artylerii. Stanowiło to zasadniczy etap w rozwoju artylerii Brygady.

Gdy pułk przeszedł do Marsa Matruh, kontynuowano tam ścisłą współpracę z oddziałami wojsk sojusznicych, w szczególności południowo-afrykańskich.

Sędziwy marszałek Smuts, który w sierpniu 1941 r. odwiedził Marsa Matruh, w rozmowie z dowódcą Karpackiego Pułku Artylerii ppłk. G. wyraził żywe zadowolenie z powodu tak serdecznych stosunków, panujących między polskimi oddziałami i oddziałami wojsk południowo-afrykańskich.

Dzień Święta Żołnierza — 15 sierpnia 1941 r. — obchodzony był w pułku uroczystie. Przybył na nie płd.-afryk. generał Brink. Po mszy św. i defiladzie całego pułku gen. Brink w przemówieniu, nacechowanym wielką sympatią

i przyjaźnią dla Polski, dał wyraz głębokiej wierze w ostateczne zwycięstwo, podkreślając, że „będzie ono tym pewnością, jeśli Łódź obsadzona będzie przez zgranych wioślarzy, pracujących zgodnie przy dobrym sterniku.“

16-tego sierpnia 1941 r. niespodziewanie przybywa brygadier brytyjski Latham, doręczając ppłk. G. rozkaz wyjazdu Karpackiego Pułku Artylerii do oblężonej twierdzy tobruckiej.

Rozkaz ten otworzył okres właściwej pracy bojowej polskiej artylerii na Środkowym Wschodzie.

Rozpoczęły się gorączkowe prace przygotowawcze do wyjazdu. Ku wielkiemu żalowi i pewnemu zdziwieniu żołnierzy musiano zostawić na miejscu nowe, doskonałe działa angielskie motorowe i nowy sprzęt.

Wyjeżdżamy, jak się wyraził jeden z artylerzystów, „na golasa“. Pocieszano się jednak, że w twierdzy na pewno nie brak różnorodnego sprzętu.

19 sierpnia 1941 r. jednym konwojem, składającym się z niezwykle szybkiego okrętu wojennego „Latona“, dziś leżącego na dnie morskim, (zatopionego w czasie gwałtownego bombardowania w okresie późniejszego transportu polskiej Legii Oficerskiej) i dwóch mniejszych transportowców — Karpacki Pułk Artylerii bez żadnych przygód dotarł do Tobruku.

Od samego rana dnia następnego rozpoczęło się obejmowanie sprzętu jednego z pułków brytyjskich.

Karpacki Pułk Artylerii wraz z pułkiem australijskim stanowił artylerię odcinka zachodniego, najważniejszego w oblężonej twierdzy tobruckiej.

Początki nie były łatwe. Żołnierze nasi mieli duże trudności językowe, jednak zapał ich zrobił swoje. W ciągu jednego dnia cały sprzęt został odebrany i tegoż samego jeszcze dnia niektórzy polscy obserwatorzy artylerijscy rozpoczęli właściwą pracę bojową, otwierając przy obsłudze angielskiej ognie na różne cele.

O sprawności naszej artylerii świadczy fakt, że w niespełna dwa dni po przybyciu do Tobruku pułk artylerii był już gotów do rozpoczęcia akcji, a 22 sierpnia objął odpowiedzialność za wyznaczony mu odcinek frontu.

Rozpoczęła się żmudna praca nad rozpoznaniem przeciwnika, ulepszaniem pozycji i codzienna działalność bojowa czy to z własnej inicjatywy, czy też na żądanie piechoty.

Od chwili objęcia działań powstała chęć kierowania ogni na wzgórze Medaur, gdzie siedzieli dobrze umocnieni Niemcy.

Sprawa sprzętu artylerijskiego przedstawiała się z początku nienadzwyczajnie. Sprzęt był słabszy niż ten, który posiadał pułk w Marsa Matruh. Nie przejmowali się tym jednak nasi artylerzyści, wiedząc, że w odpowiednim czasie nadejdzie uzupełnienie. Z pośród objętych 21 dział tylko 12 25-funtówek było dobrych. Z pozostałych 9-ciu 18-funtówek nie wszystkie zdolne były do intensywnej pracy.

Przez cały czas pobytu w twierdzy wszyscy żołnierze pragnęli jak najwięcej strzelać. Codzienne jednak zużycie amunicji było ograniczone, a istniejące zapasy przeznaczono na okres ewentualnego natarcia ze strony nieprzy-

jaciela. Stąd też powstała myśl, żeby nie czekając na sprzęt angielski uzupełnić działa sprzętem włoskim w stanie do tychczas bezużytecznym, do którego amunicji zdobyczej było pod dostatkiem. Zabrano się do tej pracy z pełnym zapałem i już w przeciągu miesiąca używał pułk kilku dział włoskich 75-cio i 100-milimetrowych, uruchomionych rękami polskich kanonierów.

Oddziałami sprzymierzonymi, z którymi pułk współpracował, były oddziały australijskie. Czy to z piechotą czy z artylerią australijską stosunki ułożyły się od samego początku jak najlepiej zarówno w pracy bojowej, jak i na gruncie towarzyskim. Panowała ogólna serdeczność. Australijczycy nabrali pełnego zaufania do naszych obserwatorów, do sprawności obsługi dział i celności naszego ognia.

Dla włoskiego sprzętu nie było żadnych ograniczeń amunicyjnych, to też artylerzyści nasi mogli w pełni zaspokoić żądania piechoty australijskiej i swojej własnej.

W okresie współpracy z Australijczykami artylerzyści polscy mogli nabrać dużej praktyki i doszli do prawdziwej perfekcji w operowaniu ogniem.

W drugą rocznicę wojny dnia 1 sierpnia 1941 r., dokonali Niemcy gwałtownego nalotu nurkowego, m.in. na pozycje naszej artylerii. Strat jednak nie było.

Pewnego dnia artyleryjski pocisk niemiecki padł opodal 4-tej baterii naszego pułku zabijając 11-tu Australijczyków. Byli to żołnierze pułku, z którym artyleria nasza najdłużej pracowała. Nasi żołnierze pośpieszyli natychmiast z pomocą, opatrując rannych. Pogrzeb zabitych odbył się dnia następnego na miejscowym cmentarzu w obecności delegacji polskich artylerzystów. Jeden z żołnierzy naszych wykonał artystycznie z blachy dużego orła polskiego, który wręczony został Australijczykowi. Orzeł ten widnieje dziś na grobie chorążego australijskiego, który padł na posterunku w czasie wspomnianego wypadku.

(D.c.n.)

Wacław Sikorski
porucznik

KRONIKA W. P. Ś. W.

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ
DO ŻOŁNIERZY W.P.Ś.W.

Pan Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz nadesłał na ręce Dowódcy W.P.Ś.W. gen. bryg. dr. Józefa Zajęca depeszę treści następującej:

„DZIĘKUJĘ PANU GENERAŁOWI JAK RÓWNIEMIEŻ DYWIZJI STRZELCÓW KARPACKICH ORAZ POZOSTAŁYM ODDZIAŁOM WOJSK NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE ZA NADEŚLANE MNIE ŻYCZENIA W DNIU ŚWIĘTA NARODOWEGO.

CZYN ZBROJNY ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, ZESPÓLONY BOHATERSKIM DUCHEM OPORU BRACI NASZYCH W KRAJU, ZAPEWNI NAM RYCHŁE WYSWOBODZENIE OJCZYZNY I WYWALCZENIE JEJ WIELKIEJ I SZCZĘŚLIWEJ PRZYSZŁOŚCI.

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ“.

ODNALEZIENI W Z. S. R. R.

Wśród odnalezionych i zwolnionych na terenie Z.S.R.R. osób, (oprócz wymienionych już w poprzednim zeszycie „Ku Wolnej Polsce“), znajdują się: mgr. Franciszek Lachowicz, st. asystent przy Katedrze Pedagogii na Uniw. Warszawskim, poseł Jakób Hofman z Równego, redaktor „Rocznika Wołyńskiego“, wybitny działacz Zw. Nauczycielskiego, Stanisław Rogoż, literat, współpracownik „Tygodnika Ilustrowanego“, Tadeusz Ehrenberg, dziennikarz, Bronisław Skalak, dziennikarz socjalistyczny ze Lwowa, M. Kaplicki, b. prezydent m. Krakowa, Jaszczółt b. wojewoda, Edward Perkowicz, pułkownik, Rohm, ppłk. audytor.

JERZY KIJEWSKI

NASZYMI DROGAMI - PRZEZ SAHARĘ

(Dokończenie)

Dwutygodniowy nasz przymusowy pobyt w Sokoto, podczas którego angielski wywiad zbierał o nas informacje, był dla nas jednym ciągiem przyjęć i rozrywek. Cała angielska kolonia w Sokoto, składająca się z kilkudziesięciu osób, uważała sobie za obowiązek nas gościć i podejmować jak najuprzejmiej. Nawet sułtan murzyński prowincji Sokoto zaprosił nas do siebie wraz z rezydentem, z powodu wielkiego święta „Ramadanu“. Podziwialiśmy tam barwne stroje Murzynów, ich tańce i obrządkie religijne, zakończone wielką defiladą przez miasto orszaku sułtana, otoczonego gwardią przyboczną, w fantastycznych ubiorach i uzbrojeniu.

Dalsze nasze losy spoczęły w rękach Anglików. Po dwóch tygodniach przyjechał po nas oficer angielskiej służby wywiadowczej i wraz z nim pojechaliśmy, wciąż naszymi samochodami, o przeszło pięćset kilometrów dalej na wschód, w kierunku jeziora Czad, do wielkiego, z górą stutysięcznego, miasta Kano, gdzie stał znaczny garnizon angielski.

W Kano oczekiwaliśmy decyzji władz angielskich, co do

dalszej naszej wędrowki. Chcieliśmy, początkowo, jechać do portu Lagos, aby tam wsiąść na okręt i dotrzeć do Anglii, gdyż tam znajdowała się nasza Brygada, ale decyzja Anglików co do tego projektu nie nadchodziła, a czas mijał na próżnym i nużącym oczekiwaniu.

W tym czasie dowiedzieliśmy się z pism angielskich, że wojska nasze, które znajdowały się w Syrii, przemaszerowały do Palestyny, a stamtąd do Egiptu. Zaproponowaliśmy więc Anglikom, że możemy wyruszyć dalej naszymi samochodami do jeziora Czad, a stamtąd, przez terytorium zajęte przez wojska de Gaulle'a, do Sudanu angielskiego, na El-Obeid, Chartum, aż do Egiptu. Ale po kilkunastu dniach nadeszła odpowiedź odmowna, gdyż Anglicy uważali, że droga ta jest ciężka i zbyt niebezpieczna, aby przebyć ją naszymi samochodami.

Wreszcie, po miesiącu oczekiwania w Kano, Anglicy oświadczyli nam, że zostaniemy skierowani samolotem do Egiptu i polecili nam natychmiast przygotować się do drogi.

Z bólem serca też zmuszeni byliśmy rozstać się z naszymi samochodami, do których przywiązaliśmy się, jak do żywych istot i które tak wiernie nam służyły w naszej podróży, ale nie było na to rady, nie mogliśmy przecież wziąć naszych wozów na samolot. Obecnie oczekiwaliśmy z dnia na dzień rozkazu zajęcia miejsca w jednym z samolotów, których setki przelatywały przez Kano, w kierunku na Egipt. Ale czekaliśmy bezskutecznie, rozkaz nie nadchodził.

CZY NIEMCY UŻYJĄ GAZÓW BOJOWYCH?

II.

Jednym z najmniej znanych, choć może najprawdopodobniejszych sposobów ataku lotniczo-gazowego, jaki zastosować mogą Niemcy w próbach inwazji, to atak przy pomocy rozpryskiwaczy i rozpylaczy lotniczych. Rozpryskiwacze są to zbiorniki wypełnione cieczą gazu bojowego trwałego (np. iperytu), umieszczone w samolocie, z których gaz ten jest rozpryskiwany pod ciśnieniem, w czasie lotu płatowca. Rozpylacze, podobnie jak rozpryskiwacze, rozpylają na teren obrany, nie ciecz jednak, ale proszek gazu bojowego, w postaci drobnej zawiesiny. Proszek ten opada na ziemię i atakuje, będąc jeszcze w powietrzu, drogi oddechowe i oczy organizmów żywych.

Jako najbardziej nadające się do rozpryskiwania uważać należy gazy bojowe takie np. jak iperyt i luizyt. Opadać będą one na ziemię i ludzi tam się znajdujących, w postaci większych lub mniejszych kropeł. Do rozpylania użyte być mogą gazy stałe (proszki) takie jak sternity (adamsyt), lub inne gazy drażniące i trujące. Poza tym nieprzyjaciół stosować może w rozpryskiwaczach jako ciecz rozpryskiwaną stężone kwasy np. siarczany, solny i azotowy. Działanie ich będzie wybitnie żrące (nieco inne w następstwach niż od iperytu), jeśli chodzi o ciało ludzkie; w stosunku do sprzętu, oprządzenia, ubrania itp. działanie to będzie wybitnie żrące, a nawet palące (w przeciwieństwie do iperytu).

Opryskiwanie i opylanie stosowane być może przez lotnictwo nieprzyjaciela z różnych wysokości, nawet 3.500 metrów (10.000 stóp), choć najbardziej prawdopodobne i najbardziej skuteczne będzie użycie ich z wysokości niewielkich, a więc: 50 m. (150 stóp); 100 m. (300 stóp); 150 m. (450-500 stóp), aż do wysokości 500 m. (1.000-1.500 stóp).



Kopce moskitów (Do art. „Naszymi Drogami...“)

Wreszcie po dwóch nowych tygodniach daremnego oczekiwania, nadszedł rozkaz odmienny. Mieliśmy natychmiast wyruszyć koleją do portu Lagos, gdzie mieliśmy się załadować na kolej do Anglii.

Z radością opuszczaliśmy Kano, chociaż Anglicy starali się tam wszelkimi siłami uprzyjemnić nam nasz pobyt, zapraszając nas na różne przyjęcia i polowania, ale w Kano oczekiwaliśmy beczynnym półtora miesiąca w ciągłej niepewności co do dalszych naszych losów, więc ten przymusowy odpoczynek sprzyrzył nam się niezmiernie.

Dwudniowej naszej podróży koleją z Kano do odległego o z górą tysiąc kilometrów portu Lagos nie można było zaliczyć do najprzyjemniejszych z powodu straszliwego gorąca i kurzu. Przejechaliśmy całą Nigerię z północy na południe. Im bliżej było do Lagos, tym bardziej roślinność stawała się bujna i tropikalna, a klimat bardziej gorący i nadzwyczaj wilgotny. Rano, dopóki słońce nie wzeszło wysoko, tumany gęstej mgły zasłaniały cały krajobraz i wszystko ociekało wodą, jak po ulewnym deszczu.

Po przybyciu do Lagos oświadczone nam, że odjeżdżamy, co prawda, za parę dni okrętem, ale nie do Anglii tylko do Przylądka Dobrej Nadziei, aby stamtąd ruszyć dalej do Egiptu. Nastąpiła więc nowa, zupełnie nieoczekiwana, zmiana w naszej marszrucie.

Nie mieliśmy już wielkiej nadziei, że projekt ten rzeczywiście dojdzie do skutku i przez te parę dni oczekiwaliśmy ciągle jakiejś nowej zmiany w naszej podróży. Dopiero, gdy nasz okręt, wielki transportowiec wojskowy, na po-

kładzie któregośmy stali, wyszedł wolno z za lagun, porośniętych wysokimi palmami, otaczających wejście do portu w Lagos, i skierował się już pełnym morzem wprost na południe, uwierzyliśmy wreszcie, że jedziemy i, da Bóg, szczęśliwie dojedziemy do ostatecznego celu naszej podróży.

Po dwóch tygodniach żeglugi, urozmaiconej ścisłym „black out'em“, przekroczeniem równika, oraz spędzeniem świąt Bożego Narodzenia w towarzystwie wesołych Anglików, okręt nasz wjechał wreszcie do zatoki Table Bay, gdzie leży pięknie rozmieszczone miasto, Capetown, w którym zatrzymaliśmy się na trzy dni.

Następnie ruszyliśmy znowu okrętem w drogę i minęliśmy Przylądek Dobrej Nadziei, a po tygodniu zawinęliśmy do portu wielkiego miasta Durban, znajdującego się już nad oceanem Indyjskim. Tu kazano nam wysiąść ze statku i umieszczono nas w hotelu. Oczekiwaliśmy tam przez osiemnaście dni na przybycie z Anglii wielkiego konwoju wojskowego, z którym mieliśmy dalej jechać.

Miasto Durban było dla nas prawdziwą rewelacją. Wielkie, nowoczesne miasto, w stylu amerykańskim, z wielopiętrowymi „drapaczami“ i pięknymi gmachami, rześcicie oświetlone, sprawiło na nas ogromne wrażenie, spotęgowane jeszcze tem, że już blisko cztery miesiące przebywaliśmy z dala od cywilizacji w pustyniach i dżunglach Czarnego Łądu.

Korzystając z naszego pobytu w Durban zwiedziliśmy trochę okolicę, prowincję Natal oraz Kraj Zulusów, o którym tyle naczałem się za lat dziecińczych. Śmiało można powiedzieć, że w ogóle cała Południowa Afryka jest

Dla przykładu podam jak wielką przestrzeń i jak skutecznie skazić może pojedynczy samolot. Zaopatrzony w rozpryskiwacz o pojemności około 500 kg. iperytu, lecąc z szybkością 250 km/godz. i wykonywując opryskiwanie z wysokości 150 m., w ciągu 10 sek. samolot może skazić odcinek terenu 750 m. długi i 25 m. szeroki, czyli powierzchnię około 20.000 m² i to bardzo skutecznie, t.j. że powierzchnia ta będzie obficie skropiona cieczą gazu bojowego.

Odmiernym nieco sprzętem napadu lotniczo-gazowego będą t.zw. ampułki gazowe. Są to wykonane ze szkła lub ze specjalnej mieszaniny elastycznej (prawdopodobnie żelatynowo-glicerynowej) zbiorniki w formie długich cylindrów (wielkich ampułek) o pojemności od 2 do 10 kg. iperytu lub innego gazu trwałego. Ampułki te są zrzucane z samolotów masowo tak, jak obecnie masowo używane są małe bomby zapalające. Ampułka taka, spadając na ziemię, ulega stłuczeniu i daje w rezultacie plamę chemiczną, niewielką choć bardzo skoncentrowaną i obficie skażoną.

Użycie ampułek gazowych w pierwszych liniach obronnych, zwłaszcza tam, gdzie obrzucony ma być nimi teren stosunkowo miękki, np. ziemia orna, pola, łąki, ogrody itp., jest mało prawdopodobne, ze względu na to, że jak wykazały doświadczenia, w terenie takim ampułki nie zawsze ulegają stłuczeniu. Za to w stosunku do miast i osiedli, użycie ich jest zupełnie pewne. Tu ampułka po upadku rozbija się prawie zawsze, trafiawszy na twarde bruk ulic, mury i dachy domów itp.

Przejdę wreszcie do omówienia ostatniego z możliwych sposobów napadu gazowego. Będzie to użycie chemicznych środków bojowych w sposób podstępny — wewnątrz kraju. Użycie ich skierowane będzie przede wszystkim przeciwko armii, ale również skierowane być może, w znacznej mierze, przeciwko ludności cywilnej.

Użycie to polegać będzie na zastosowaniu gazów bojowych, najczęściej o działaniu opóźnionym, podstępnym działaniu gazów trwałych, np. iperytu. Ten sposób ataku stosowany być może przez:

— dywersantów, szpiegów i członków „piątej kolumny“,
— przez wysadzonych spadochroniarzy.

Jeśli chodzi o pierwszych, to podobnie jak to robili w czasie ubiegłej wojny, w sztabach, na tyłach armii, mogą skażać oni ciekłym iperytem, stosując nawet najprostsze sposoby — sprzęty, pojazdy mechaniczne, sprzęt uzbrojenia, lokale i miejsca postoju dowództw itp. Ponadto uzyskawszy wiadomości o przemarszu przez określone miejsce większych oddziałów wojskowych, mogą wykonać skażenia tych miejsc skrycie, rozlewając iperyt wprost z butelek. Miejscami takimi mogą być: mosty, wąskie ulice, wejścia na dworce, perony, do portów itp. Te drobne „ataki“ dywersyjne miałyby na celu dotknięcie bezpośrednie wojska.

Ale przyjść mogą „ataki“ tego rodzaju w stosunku do ludności cywilnej oraz cywilnych organizacji obrony wnętrza kraju. A czyż nie jest możliwe, dla masowego unieszkodliwienia pewnych grup ludności np. robotników przemysłu wojennego — skażenie uchwytów i poręczy w tramwajach i autobusach. Przecież wykonane to być może z łatwością, jeśli zdrajca lub szpieg znajdzie się w szeregach pracowników komunikacji miejskiej. A skażenie narzędzi pracy w wytwórniach przemysłu wojennego? A skażenie urządzeń użyteczności publicznej, jak stacji pomp, wodociągów, elektrowni itp. A skażenie np. hydrantów ulicznych, właśnie przed spodziewanym nalotem? Czyż w pewnym podnieceniu alarmowym skażenia te nie mogą ująć uwadze i spowodować oparzenia setek osób cywilnych i wielu pracowników ARP. w czasie wykonywania przez nich ciężkiej i ofiarnej pracy?

A teraz jak używać mogą chemicznych środków bojowych spadochroniarze niemieccy? Tutaj skażenie będzie miało na celu sianie dywersji i zamieszania na bliskich tyłach naszych wojsk przez skażenie dróg, mostów, obiektów wojskowych, sprzętu itp. Ponadto skażeniu ulec mogą studnie, wodociągi, składy żywności, sklepy żywnościowe itp. Naturalnie, że działania te dotkną nie tylko wojsko, ale i ludność cywilną.

jednym z najpiękniejszych krajów na świecie, o nadzwyczaj bujnej, podzwrotnikowej roślinności, klimacie niezwykle łagodnym, urodzajnej ziemi i niesłychanych bogactwach mineralnych, tak, że mieszkańcy tego zakątka świata są prawdziwymi wybrańcami losu. Wszędzie widać bogactwo tego kraju. Wielkie, wspaniałe miasta, wyrosłe jak grzyby po deszczu, połączone między sobą siecią doskonałych szos asfaltowych oraz dróg żelaznych, kopalnie węgla, żelaza, złota, brylantów i różne znaczne zakłady przemysłowe przyczyniają się do ogólnego dobrobytu i zamożności.

Wreszcie przybył nasz konwój, około trzydziestu wielkich statków transportowych, zapełnionych wojskiem, eskortowanych przez całą flotylę okrętów wojennych.

Ruszyliśmy dalej na północ, między wyspą Madagaskar a afrykańskim wybrzeżem Mozambiku. Nie zatrzymując się w Zanzibarze, minęliśmy miasto Mombassa, dokąd kierowało się parę statków naszego konwoju.

Dalej podróż nasza zaczynała być niebezpieczna, gdyż jechaliśmy wzdłuż wybrzeża włoskiego Somali, aż do przylądka Guardafui. Rozkazano więc wszystkim wdziać kamizelki ratunkowe i pozostawać w nich stale przez dzień i noc, co z powodu gorąca nie było jednak bardzo przestrzegane.

Po powtórnym przekroczeniu równika zbliżyliśmy się do portu Aden i najniebezpieczniejszego punktu naszej podróży, to jest wjazdu na Morze Czerwone, przez cieśninę Babelmandebską i Perim. Noce były księżycowe, bardzo widne i było wielkie niebezpieczeństwo, tak ze strony lotnictwa włoskiego, jak i łodzi podwodnych. Ale ofensywa angielska na Abisynię już się zaczęła i Włosi mieli wi-

docnie co innego do czynienia, niż pilnowanie wjazdu do Morza Czerwonego i nasze dwadzieścia parę statków, obdanych wojskiem, materiałem i amunicją, szczęśliwie zawinęło po dwudziestodniowej podróży do Port-Tewik w Suezie.

Po paru dniach, dobrnęliśmy na koniec do ostatecznego celu naszej podróży, meldując się naszemu generałowi, dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Znowu byliśmy między swymi, znowu ujrzeliśmy polskie mundury i usłyszeliśmy słowa polskiej komendy. Choć na obcej ziemi, czuliśmy się znowu, jak u siebie w domu. Nowa otucha i nadzieja wstąpiły w nasze serca i odmłodziły nasze siły.

Gdyśmy wyruszyli w świat z Casablanki, nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy w drodze, lecz nie spodziewaliśmy się nigdy, że podróż nasza tak długo się przeciągnie i tak dalekimi drogami, łącznie z górą dwadzieścia tysięcy kilometrów, w czym jedną trzecią część drogi samochodem.

Dziś, gdy ożywiam w pamięci wspomnienia niedawnych naszych przeżyć, sam się często dziwię, że przedsięwzięcie nasze udało się w tak niesłychany sposób. Być może, iż zawdzięczamy to po części temu, że w podróży naszej mierzyliśmy „siły na zamiary, nie zamiar według sił“, ale zwłaszcza wierzę, że głównie Opatrzność czuwała nad nami i prowadziła nas obronną ręką i przez gorące piaski Sahary, i przez dzikie puszcze Afryki, i przez dalekie morza i zezwoliła nam stanąć szczęśliwie tam, gdzie wzywał nas obowiązek każdego Polaka.

(Koniec.)

Przy działaniach takich spadochroniarze posługiwać się mogą bronią chemiczną w postaci granatów ręcznych, chemicznych, min gazowych itp. Sprzęt ten mogą posiadać przy sobie skacząc z samolotów na obrany teren, lub też może on być dostarczany dodatkowo z samolotów przez opuszczanie na specjalnych spadochronach. Jeśli chodzi o rodzaje gazów, jakie w działaniach mogą być użyte, to jak wyżej zaznaczyliśmy, najprawdopodobniejszym jest użycie przede wszystkim gazów trwałych, parzących, o działaniu opóźnionym, jak iperyt lub luizyt. Ponadto dla skażenia np. wód, żywności itp. użyte być mogą gazy bojowe trujące (np. trujące związki arsenu) i drażniące.

Powróćmy teraz do pytania, które postawiliśmy na początku tego artykułu, a mianowicie: jakie to nowe gazy Niemcy wyprodukowały i gotowe są użyć?

Już na długo przed obecną wojną ukazywały się w prasie całego świata, a więc europejskiej (francuskiej, włoskiej, holenderskiej) oraz amerykańskiej artykuły i notatki (jak się zdaje inspirowane przez agentów Goebbelsa), że niektóre państwa, a zwłaszcza Niemcy, posiadają w dziedzinie gazów wynalazki wprost zastraszące. Mówiło się o gazach „spalających“ nie tylko maskę przeciwgazową, ale i cały organizm, słyszało się o gazach, „na które nie ma sposobu obrony i ratunku“ itp. historie, obliczone na tani efekt wywołania paniki i zastraszenia opinii publicznej. Patrząc jednak na zagadnienia te spokojnie i rozważnie, a zwłaszcza rozpatrując je z punktu widzenia naukowo-chemicznego, stwierdzić należy, że chemia jest nauką ścisłą, nie zna zagadnień, których nie dało by się przewidzieć, choćby nawet na dłuższą metę. Nie zna ona też związków, które by miały jakieś nadzwyczajne działania. Wszystko da się tu ująć i usystematyzować. Każdy, nawet nowo wynaleziony związek, którego bliżej nie znamy, o ile tylko określimy w przybliżeniu z jakich składników powstał, może być z góry ogólnie scharakteryzowany i można przewidzieć jego własności. To też dla ludzi znających chemię, dla ludzi, którzy z zagadnieniami gazów bojowych stykali się bliżej, te fantastyczne bajki d-ra Goebbelsa zawsze wydawały się śmieszne.

Bez wątplenia cały szereg nowych gazów bojowych mógł być wynaleziony i wyprodukowany po wojnie światowej. Nie świadczy to jednak bynajmniej, by się ich nie

dało zaliczyć do którejkolwiek ze znanych grup gazów bojowych.

Statystyki amerykańskie z wojny światowej wskazują, że najbardziej napastliwymi w stosunku do ludzi (czyli wywołującymi największą ilość wypadków śmiertelnych i ciężkich schorzeń) były gazy żrąco-parzące, następnie gazy duszące, a wreszcie drażniące, sternity. Stosunek ten wyraża się jak: 10:4:1.

To też najbardziej prawdopodobne wydaje się nadal użycie przez Niemców w tej wojnie tych właśnie grup gazów bojowych.

Ażeby użycie gazów bojowych ani w momencie ich zastosowania po raz pierwszy przez nieprzyjaciela, ani później nas nie zaskoczyło, należy przede wszystkim — zarówno w polu, jak i na kwaterach, na linii bojowej, jak i w głębi kraju, stosować wszędzie bardzo rygorystycznie wszelkie przepisy i instrukcje obrony przeciwgazowej, tak jednostkowej, jak i zbiorowej. To, co się niektórym wydaje często nieistotne i uciążliwe, przy stosowaniu już dziś, gdy zdawało by się jeszcze nic istotnego nie zagraża, będzie często zbawiennym w razie właściwego niebezpieczeństwa.

Pamiętajmy, że nie ma nic takiego w regulaminach, przepisach i instrukcjach OPGAZ., co nie było by uzasadnione wymogami obrony.

Pamiętajmy ponadto, że w razie rozpoczęcia przez barbarzyńskich Hunów stosowania gazów bojowych — należy wzmocnić czujność!

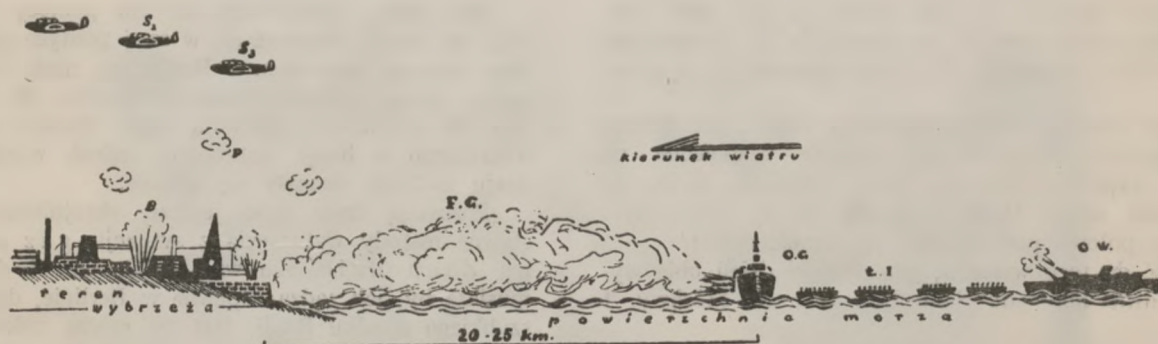
Mieć zawsze oczy i uszy otwarte!

Powonienie tak nastawione i wytrenowane, by potrafić zawsze na czas wyczuć zmianę zapachu panującego w otoczeniu!

W razie stwierdzenia użycia gazów bojowych przez nieprzyjaciela, lub, gdy podejrzewamy ich użycie, natychmiast meldować przełożonym lub władzom wojskowym.

ANTIGASUS

(„Polska Walcząca“)



Schemat kombinowanego ataku gazowego z morza i z powietrza

Gaz i Oferty Pokojowe

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Działania zaczepne Niemców na Krymie i Rosjan pod Charkowem mają charakter operacji wstępnych, zmierzających do oczyszczenia terenu celem przygotowania dalszych, znacznie rozleglejszych wystąpień. Przez Krym, a ściślej biorąc przez półwysep Kerczeński, wiedzie najbliższa droga na Kaukaz. Wojskom sowieckim udało się odebrać Kercz w grudniu zeszłego roku w czasie kontrofensywy zimowej. Dziś Kercz przechodzi znowu w ręce Niemców.

Co prawda, w chwili gdy piszemy te słowa, nie ma jeszcze urzędowego potwierdzenia ze strony sowieckiej wycofania się wojsk rosyjskich z samego Kerczu, wszystko jednak wskazuje, że po dziesięciodniowych walkach Niemcy osiągnęli tam swój cel. Wydaje się, że po zdobyciu tego miasta, będą oni próbowali opanować również Sewastopol, nie tylko dlatego, by w chwili uderzenia na Kaukaz nie mieć na tyłach swych wojsk silnej twierdzy rosyjskiej, ale również, by odebrać naturalną bazę czarnomorskiej flocie sowieckiej, której ruchliwość i siła stanowią jedną z poważniejszych przeszkód w opanowaniu rosyjskich brzegów Morza Czarnego. Dopiero posiadanie całego Krymu pozwoliło by Niemcom na pełną swobodę ruchów w rozwinięciu manewru na Kaukaz od tej właśnie strony.

Tymczasem jednak uderzenie na Charków wojsk Timoszenki wytworzyło nową sytuację. Okazuje się, że z chwilą nadejścia pełnej wiosny wojska sowieckie nie chcą ograniczać się do obrony, lecz gotowe są przystępować do działań zaczepnych. Natarcie rosyjskie w stronę Charkowa ma przede wszystkim znaczenie dywersyjne w stosunku do działań na Krymie. W chwili, gdy wojska Hitlera próbują postępować w stronę Kaukazu na półwyspie Kerczeńskim, na ich tyłach wyrasta nowe niebezpieczeństwo, które może doprowadzić co najmniej do dezorganizacji niemieckich linii łączności i etapów na Ukrainie.

W Moskwie twierdzą, że wojska sowieckie pod Charkowem posunęły się w głąb linii niemieckich w ciągu 10 dni na 60 klm., czyli mniej więcej w tym samym tempie, co wojska niemieckie na półwyspie Kerczeńskim. Nie należało by oczywiście wysnuwać z tego spostrzeżenia zbyt daleko idących wniosków i twierdzić, że na froncie niemiecko-sowieckim wytworzyła się równowaga sił. Nie ulega wszakże wątpliwości, że obie strony zdolne są dziś do poważnego oporu i że obie strony, a nie tylko niemiecka, mogą sobie pozwolić na skupianie na określonych odcinkach frontu znacznych sił i przystępowanie do przeciwuderzeń.

W zeszycie trzecim „Bellony“ z marca 1942 r. gen. Kukiel ogłosił rozprawę porównującą wyprawę Napoleona na Moskwę z wyprawą Hitlera. Autor stwierdza m.in., że „błyskawiczna wojna Hitlera okazała się w ostatecznym rezultacie o połowę powolniejszą od napoleońskiej.“

By dojść do tego wniosku, gen. Kukiel dzieli obie wyprawy na dwie fazy: do Smoleńska oraz do Moskwy. I stwierdza:

„Napoleon doszedł do Smoleńska w 56 dniu operacji, przebywszy 580 klm. w locie ptaka. Przeciętna dzienna nieco ponad 10 klm. Niemcy doszli w 25 dniu operacji. Przeciętna dzienna 23 klm. Szybkość przeciętna po stronie Hitlera półtrzecia razy wyższa. Na głębokości niespełna 600 klm. występuje bezwzględna przewaga nowoczesnej wojny błyskawicznej nad starą wojną ruchową. Od Smoleńska do Moskwy szedł Napoleon dalszych 29 dni. W

locie ptaka 340 klm. Przeciętna dzienna 12 klm. Niemcy podeszli pod Moskwę na odległość 40 klm. w 100 dni po wzięciu Smoleńska. Przeciętna dzienna 3 klm. Czterokrotnie niższa od napoleońskiej.

Co się stało? — zapytuje gen. Kukiel. — Nasuwa się przypuszczenie, że nastąpiło nieoczekiwane wielkie zużycie po stronie nacierającego, szczególnie w sprzęcie pancernym i w ogóle motorowym i że kryzys w tym względzie zaczął się w czas, już w drugiej połowie lipca, a w końcu września wystąpił w całej pełni. Może zbyt śmiała była by hipoteza, że nowoczesna wojna błyskawiczna ma swoje granice w czasie i przestrzeni: w czasie był by to okres 7-8 tygodni (na które obliczyli Niemcy początkowo wielkie operacje zaczepne), w przestrzeni była by to głębokość około 600 klm. Później i dalej zda się następować zużycie sprzętu i trudność zaopatrzenia w stopniu paraliżującym operacje, a motoryzacja z czynnika przyspieszenia stać się może czynnikiem hamującym.“

Uwagi te nabierają dużej wymowy w chwili rozpoczęcia się nowej kampanii wojennej w Rosji, kiedy Hitler przygotowuje się tam znowu do „decydującego uderzenia“. Niewątpliwie musi się on liczyć z „granicami wojny błyskawicznej“ w czasie i przestrzeni i może dlatego ograniczy się na razie do uderzenia na Kaukaz, którego odcięcie od reszty sił sowieckich musiało by, w jego mniemaniu, zdeorganizować cały system obronny Sowietów. Z drugiej strony musi się liczyć również z możliwościami przeciwuderzeń sowieckich na innych odcinkach frontu.

Najwątpliwie armia rosyjska doznała niejednego uszczerbku od czerwca 1941 roku. Organizm gospodarczy Sowietów został nadwyreżony wskutek utraty Ukrainy i częściowo Zagłębia Donieckiego, lecz Niemcy ze swej strony nie mogą dziś stawiać na czynnik zaskoczenia, który w czerwcu ub. roku zapewnił im w Rosji pierwsze, piorunujące sukcesy. I dlatego, mimo, że Niemcy mogą spodziewać się szeregu powodzeń w pierwszej fazie ofensywy, to przecież zadanie ich w Rosji wydaje się dziś trudniejsze niż w roku zeszłym, a sukcesy okupione będą zapewne znacznie większymi stratami. Dziesięciodniowe zdobywanie Kerczu było tego pierwszym przykładem. Niemców czeka w Rosji duży jeszcze wysiłek.

Być może, spodziewają się oni pomocy Japonii, lecz kraj ten zwykł kierować się w swej polityce przede wszystkim własnym interesem i Berlin nie może łudzić się, że Tokio wystąpi przeciw Moskwie li tylko dla wygody Berlina. W Niemczech oczekują może również rozkładu wewnętrznego w Rosji, dotychczas jednak wszelkie tego rodzaju nadzieje okazały się płonne.

Pozostają dwie inne jeszcze, skrajniejsze i przeciwstawne metody wybrnięcia z sytuacji: gaz albo pokój na Zachodzie. Zarówno jedna, jak i druga metoda musiała by, jak sądzą zapewne w Berlinie, doprowadzić do szybkiego upadku Rosji. Jest też rzeczą ciekawą, że właśnie w tej chwili mówi się o możliwości wszczęcia przez Rzeszę wojny gazowej, jak i o jej ofertach pokojowych i pojednawczych, czynionych nie tylko Anglii i Ameryce... ale również Polakom.

Sprawa wojny gazowej została jasno postawiona w przemówieniu premiera Churchilla, o czym pisaliśmy w poprzednim numerze. Niemcy wiedzą, że nie uda im się wojny gazowej zlokalizować na jednym tylko froncie rosyj-

skim. Być może, to powstrzyma ich na razie od szaleń-
czych decyzji, z drugiej strony jednak, w Anglii liczą się
z tym, że w ostatniej fazie wojny Hitler zdecyduje się na
desperackie użycie gazów, gdy będzie czuł, że wojnę
przegrywa.

Oferty pokojowe składał Hitler W. Brytanii wielo-
krotnie. Co prawda, do jesieni 1940 roku panowało w Ber-
linie przekonanie, że Anglia „błagać będzie niebawem
Niemcy na kolanach o pokój“. Ale po przegranej „bitwie
o Anglię“ we wrześniu 1940 roku i po nieosiągnięciu ocze-
kiwanych następstw masowych bombardowań W. Brytanii
na wiosnę 1941 roku, w Berlinie zrozumiano, zdaje się,
że Anglii pokonać się nie da. I wówczas to, w maju
ub. roku wyładował nagle w W. Brytanii zastępca Hitlera
— Rudolf Hess. W Berlinie zrobiono z niego na wszelki
wypadek wariata. W Londynie potraktowano eskapadę Hessa
jako dość grubymi nićmi szyty manewr i Hessa uwięzono.
Wiózł on niewątpliwie propozycje pokojowe, rzekomo w
swoim tylko imieniu. Licząc się już wówczas z wojną
z Rosją Hess leciał do Anglii, by nakłonić ją do pokoju,
który opierał by się na zasadzie: Europa z Rosją dla
Niemiec, reszta świata dla Anglii. Oba kraje miała cemen-
tować obawa przed „niebezpieczeństwem bolszewickim“.

Dziś, jak ujawniono w Londynie, rolę apostoła pokoju
w Niemczech odgrywa marsz. Goering, a jego ostatnim agen-
tem stał się Laval, który odpowiednio oferty poczynił am-
basadorowi amerykańskiemu w Vichy, admirałowi Leahy.
Inicjatywa Goeringa skazana została na takie samo nie-
powodzenie, jak efekciarski lot Hessa do Anglii. Rząd
angielski udzielił już odpowiedzi publicznej tym niewczes-
nym próbom Niemców wydobycia się z matni.

Brytyjski minister stanu sir Stafford Cripps oświad-
czył raz jeszcze, że Anglia prowadzić będzie wojnę aż do
zupełnego zniszczenia maszyny wojennej Rzeszy, przy czym
od działań obronnych przejdzie niedługo do dzia-
łań zaczepnych. A premier Churchill w przemówieniu w
Leeds oświadczył, że nie widzi w Anglii żadnego wyczer-
pania czy zmęczenia wojną, która będzie prowadzona do
końca.

Z sytuacji tej jasno zdaje sobie sprawę Papież Pius XII.
W mowie wygłoszonej z okazji jubileuszu biskupiego Ojciec
św. oświadczył wyraźnie, że przedkładanie szczegółowych
propozycji pokojowych było by dziś bezcelowe. Jedne
państwa walczące („osi“) chciały by utwierdzić swe obecne

zdobycze, inne (sojusznicze) oczekują od przyszłości po-
prawienia swej sytuacji.

Niemcom nie uda się zatem przerwać tej wojny w
chwili dla nich dogodnej.

Ze jednak chcieli by one znaleźć jakieś wyjście z
impasu, o tym świadczą ich wysiłki pojednawcze w Polsce.
Niemcy przypomnieli sobie nagle „sprawę polską“, rze-
komo uregulowaną już przez nich na wieki wieków utwo-
rzeniem sławetnego „generał-gubernatorstwa“. Specjalna
komisja, z b. ambasadorem Rzeszy w Warszawie v. Moltke
na czele, opracowuje rzekomo nowy „statut“ generał-guber-
natorstwa, które ma stać się „niezależnym czynnikiem poli-
tycznym“. Polacy mają być zwolnieni z więzień i obozów
koncentracyjnych, władza lokalna ma przejść w ręce polskie
itd. Wszystko pod warunkiem, że Polacy zaprzestaną walki
z Niemcami, a w szczególności, że ustaną w Polsce „sa-
botaż na kolejach“, które dezorganizują system komu-
nikacyjny na tyłach wojsk niemieckich w Rosji. Podstawą
współpracy polsko-niemieckiej było znowu „niebezpieczeń-
stwo bolszewickie“.

Odpowiedź polska na te próby nie wymaga gromkich
określeń. Polska prowadzić będzie nadal wojnę z Niemcami,
a wszelkie spóźnione umizgi wroga odrzucać będzie z po-
gardą, do jakiej upoważnia ją jej dumna i nieugięta
postawa. Krokodyle łyż zakłamanego Berlina nad „nie-
bezpieczeństwem bolszewickim“, spóźnione i obłudne ła-
manie rąk burzycieli porządku europejskiego nad zniszcze-
niem cywilizacji, nikogo dziś nie wzruszą. Trzeba było
nad tym zastanowić się wówczas, gdy po podpisaniu za-
kłamanego również paktu z Rosją pancerne dywizje nie-
mieckie ruszyły bez wypowiedzenia wojny na Polskę. Niemcy
rozpętały wówczas żywioły, które rozszalały się dziś na
całym świecie. Rozkaz Berlina już ich nie powstrzyma.
Takie są nieubłagane następstwa „przekleństwa złego
czynu“.

Nikt nie prosił zresztą Rzeszy i nie prosi obecnie o
obronę przed „bolszewizmem“. Niemcy nie staną się już
„protektorem moralnym Europy“. Do roli tej nie nadają
się, gdyż pod tym względem zdali egzamin fatalnie.
Świadczy o tym nie tylko brak w Berlinie jakiegokolwiek
twórczej koncepcji politycznej, jeśli chodzi o organizację
Europy w ogóle, a wschodniej w szczególności, lecz za-
razem nienawiść, jaką Niemcy uporczywie organizowali
przeciwko sobie na całym kontynencie. D. I.



*Dowódca wojsk sprzymierzonych w Palestynie i Transjordanii gen. McConnell
wizytuje Oddziały W.P.S.W.*

ŚLEPY TOR UKRAIŃSKIEJ POLITYKI

Wiemy, jak wielkie nadzieje wiązali nacjonalistyczni przywódcy ukraińscy z wybuchem obecnej wojny. Wyczekiwali z niecierpliwością konfliktu niemiecko-polskiego. Jeszcze szersze ambicje łączyli z rozpoczęciem wojny niemiecko-rosyjskiej. Dla pozostających od kilkunastu lat na żołdzie niemieckim wodzów O.U.N. (skrajnej organizacji terrorystycznej walczącego nacjonalizmu ukraińskiego) pokonanie Polski, a potem wkroczenie wojsk niemieckich na Ukrainę Sowiecką miało być zwrotnym momentem w ich życiu, podniosłą chwilą realizacji ich marzeń. Liczyli, iż w tym momencie z agentów niemieckich, pełniących rolę dywersantów na terenie państwa polskiego, staną się dygnitarzami „wyzwolonego przez Niemcy państwa ukraińskiego”. Z nieklamany więc entuzjazmem witano wkraczające do Polski wojsko niemieckie, uroczyste składano hołdy.

Wiemy jak szybko, jeśli chodzi o ziemie polskie, nastąpiło rozczarowanie. Symbolicznym przypieczętowaniem klęski O.U.N. na terenie ziem polskich było aresztowanie przez władze niemieckie „prezydenta Rady”, Stecki, oraz szefa O.U.N., Bandery, proklamujących 30 czerwca 1941 powstanie „zjednoczonego państwa ukraińskiego”. Przekreśleniem przez Niemców ukraińskich postulatów nacjonalistycznych było dalej zupełne rozkawałkowanie ziem zamieszkałych przez ludność ukraińską, a więc włączenie Małopolski Wschodniej z częścią południowego Wołynia do generał-gubernatorstwa oraz utworzenie z reszty Wołynia, części woj. poleskiego i Podola oddzielnego Komisariatu Generalnego w Brześciu n/B z Gruppenfuhrerem Schoene na czele. W ten sposób Niemcy nie tylko nie wykazali zamiaru tworzenia z ziem polskich państwa ukraińskiego, ale rozwiali nadzieje ukraińskie na zespolenie całego elementu ukraińskiego w Polsce w jednym okręgu terytorialnym.

Tej części nacjonalistycznych przywódców, którzy nie zrażeni przykrymi niepowodzeniami na terenie ziem polskich, zaślepienie wierzyli nadal w proukraińskie nastawienie Niemiec, pozostała słaba nadzieja, że przecież jednak po wkroczeniu wojsk niemieckich na teren Ukrainy sowieckiej, po zajęciu Kijowa, nastąpi zrealizowanie politycznych ambicji ukraińskich. Tu jednak spotkał ich srogi zawód.

Wprawdzie granice Komisariatu Generalnego w Brześciu n/B. przekraczają granice dawnego państwa polskiego obejmując część Podola sowieckiego, wprawdzie Komisariat ten podlega Komisariatowi Rzeszy na Ukrainie sowieckiej, ale ani ludności ukraińskiej ani ukraińskim działaczom politycznym, zarówno z Małopolski Wschodniej, jak i z Komisariatu, nie wolno wyjeżdżać na teren Ukrainy sowieckiej, pozostającej pod rządem „ministra Wschodu” Rosenberga i komisarza Rzeszy na Ukrainie sowieckiej Kocha.

Obaj ci dygnitarze hitlerowscy wprowadziwszy administrację niemiecką postawili sobie za zadanie przede wszystkim całkowite wyeksploatowanie zajętego terenu dla zaspokojenia niemieckich potrzeb wojennych. Zadanie to nie jest zresztą łatwe do przeprowadzenia. Wycofujące się wojska sowieckie niszczyły, jak wiadomo, wszystko, co dało się zniszczyć, ogałając kraj niemal całkowicie.

O rozmiarach zniszczeń świadczy chociażby oświadczenie komisarza Rzeszy na Ukrainę sowiecką Kocha, stwier-

dzające, że jeszcze w marcu b.r. poczta, telefony, telegraf nie były zorganizowane, że na całym obszarze zajętej Ukrainy czynnych jest zaledwie 40 urzędów pocztowych, że telefonu nie ma nawet w Kijowie, gdzie wojska sowieckie nie tylko zniszczyły centralę, ale wywiozły kable, druty i przewody. Zniszczenia budynków są tak wielkie, że komisariat Rzeszy nie jest w stanie urzędować w Kijowie i pozostawał pierwotnie w Równem, a ostatnio przeniesiony został do Brześcia n/B. W Dniepropawłowsku odbudowano zaledwie 23 domy na 316 zniszczonych. Odbudowa przemysłu w Krzywym Rogu jest kwestią dalekiej przyszłości. Komunikacja na Dnieprze jest utrudniona z powodu zatopienia statków, które Niemcy starają się wydobyć.

Nielepszy stan panuje w rolnictwie, gdzie Niemcy napotykają na wielkie trudności w re-peracji pozostawionych przez Rosjan, zresztą w małej ilości, traktorów, które są tak zniszczone, że użycie jednego możliwe jest tylko przy zużyciu trzech innych na jego naprawę. Chcąc dostarczyć maszyn rolniczych na Ukrainę musiano zorganizować w Wiedniu specjalną zbiórkę maszyn. Dostarczenie ich nie jest łatwe wobec trudności transportowych, a użycie — z powodu nie rozwiązalnych trudności z paliwem. Brak również zwierzęcej siły pociągowej. W tych warunkach większą część wiosennych prac uprawowych musiano wykonać przy pomocy łopat i grabi, a zasiewy — ręcznie.

Taki jest stan kraju, którego eksploatacja typu wojennego, mimo wielkiego zniszczenia, przeprowadzana jest z całą bezwzględnością i wielką energią. To, co jeden z dziennikarzy niemieckich pisał o gospodarce niemieckiej w Pskowie, dotyczy również Ukrainy: „wszystko, co tu się dzieje, dzieje się dla żołnierza niemieckiego na wschodzie, wszystko ma wojenny cel gospodarczy.” A więc na całym terenie Ukrainy sowieckiej, jak zresztą na wszystkich okupowanych terenach, stworzono specjalną organizację wojskową dla spraw gospodarczych „WI Kommandos”. Specjalnie szkoleni oficerowie gospodarczy rządzą z jej ramienia na podległych im obszarach odgrywając rolę prawdziwych kacyków gospodarczych. Poza tym specjalnie stworzone przez Goeringa Berg- und Huettenbergwerks-Gesellschaft „Ost” pracuje nad eksploatacją różną tego, czego wojska sowieckie nie zdołały zniszczyć w metalurgii i kopalnictwie. Niezależnie od tego powstały w Berlinie liczne spółki specjalnie dla eksploatacji sody, cementu, wapna, nawozów oraz skupu żywności. Wszystkie te organy zajmują się żyłowaniem biednego, wyniszczonego kraju. W szczególności rekwirowanie bez pardonu środków żywności dla wyżywienia olbrzymiej armii najdotkliwiej odbija się na ludności ukraińskiej.

Silniejsze i zdrowsze jednostki z pośród ludności wywożone są przymusowo na roboty do Niemiec, przy czym specjalne przywileje, które według przepisów niemieckich przysługują robotnikom ukraińskim, w praktyce nie są stosowane.

W zamian za te olbrzymie ciężary ludność ukraińska nie uzyskała żadnej rekompensaty w dziedzinie politycznej. Administracja krajem znajduje się wyłącznie w rękach niemieckich komisarzy okręgów — „Gebietskommissare” wzgl.

komisarzy miast — „Stadtkommissare“. Jedyne mniejsze miasteczka lub gminy wiejskie obsadzone są przez Ukraińców.

W dziedzinie sądownictwa cywilnego (karne jest całkowicie w rękach niemieckich) w sprawach między Ukraińcami — mianowani są przez komisarzy okręgowych arbitrzy, którymi mogą być Ukraińcy. Sprawy jednak o sumy wynoszące ponad 5000 rb. oraz wszystkie procesy, w których jedną ze stron jest obywatel innego państwa niż polskie lub sowieckie, rozstrzygają trybunały niemieckie według niemieckiego kodeksu cywilnego.

Co prawda, zapowiedziano wprowadzenie ukraińskiej waluty t.zw. „karbowanica“, ale to „dobrodziejstwo“ dyktowane jest interesem Niemiec a nie miejscowej ludności. Karbowanica ma być oparty na wartości ziemi i mieć ustalony kurs na podstawie stałego stosunku do marki niemieckiej. W praktyce jest on pozbawiony realnej wartości, a ułatwia jedynie Niemcom rozszerzenie obiegu pieniądza bez narażenia własnej waluty.

Ogłoszona przez Alfreda Rosenberga „wielka koncesja“, którą Niemcy dali ostatnio Ukraińcom w postaci t.zw. „statutu agrarnego“, jest również dyktowana wyłącznie interesem niemieckim i małą przynosi korzyść ludności wiejskiej. Statut ten przewiduje zniesienie „kołchozów“, na miejsce których wprowadza się „Gemeinschafty“. Rolnicy przymusowo zrzeszeni w tych „wspólnotach“ mają wspólnie uprawiać rolę, wspólnie w niektórych wspólnotach rozdzielać pomiędzy siebie pozostałą po rekwiencji część zboża oraz mogą uzyskać powiększenie uprawianej indywidualnie roli z 0,25 ha do 2 ha. Poza tym minister Rzeszy szumnie zapowiedział, że chłopci ukraińscy, którzy wraz z Niemcami walczą przeciw partyzantce sowieckiej na tyłach frontu, otrzymają ziemię na własność, jak i ci chłopcy, którzy wykażą specjalną gorliwość przy pracach w polu. Nie określił zresztą ani ilości, ani warunków, na jakich tę ziemię otrzymają.

Przyczyna, która skłoniła dzisiejszych władców Ukrainy do wydania tego dekretu, najlepiej wskazuje na wielkie niezadowolenie, które panuje wśród ludności „wyzwolonego przez Niemców kraju“. Istotnie zdecydowana większość ludności ukraińskiej znajduje się w otwartej walce z Niemcami.

W łonie najbardziej proniemieckiej organizacji O.U.N. nastąpił rozłam. Zwolennicy aresztowanych Stećko i Bandery przeszli do otwartej opozycji wobec Niemców prowadząc podziemną robotę. Na usługach Niemiec pozostał jedynie Melnyk. Trzeba jednak stwierdzić, że krok Bandery nie wywołał tak szerokiego echa, jak się spodziewano. Przyczyną tego jest skompromitowanie się w oczach ludności ukraińskiej O.U.N. jako całości. Jej miejsce zajmują natomiast lokalni działacze, wyłaniający się z pośród wiejskiej ludności ukraińskiej, najbardziej dotkniętej i niszczonej przez rządy niemieckie. Rzucili oni hasło „lokalnego nacjonalizmu“, rzucili dalej popularny wśród ludności slogan: „Niemcy nas oszukali. Jeśli byliście niezadowoleni z Rosjan, macie jeszcze większe powody być niezadowolonymi z Niemców. Należy walczyć z nowym okupantem“.

Hasło to szerokim echem odbiło się wśród ludności ukraińskiej, wśród której tworzą się samodzielne oddziały partyzanckie walczące z Niemcami, uprawiające sabotaż, wysadzające mosty i psujące tory kolejowe.

Tak wygląda sytuacja na Ukrainie sowieckiej po prawym brzegu Dniepru. Na terenach, leżących po stronie lewej tej rzeki, ludność popiera po prostu sowiecką partyzantkę.

Ten niepokojący dla Niemców stan rzeczy na tyłach ich armii, walczącej z trudem na froncie rosyjskim, powoduje, że poczynają oni szukać porozumienia z

innymi ugrupowaniami ukraińskimi, porzucając rozbite O.U.N. Między innymi usiłują nawiązywać w Paryżu kontakt nawet z dawnymi działaczami Petlurowskimi, którzy, jak wiadomo, do wybuchu tej wojny stali na stanowisku demokratycznym i szukali oparcia raczej w państwach demokratycznych, mając tradycje wspólnej walki z Polakami z lat 1919-21 o wyzwolenie Ukrainy.

Trzeba jednak stwierdzić, że to, co Niemcy chcą ofiarować Ukraińcom, nie może zadowolić żadnego z nacjonalistycznych przewódców ukraińskich. Nie zadowolili ich przecież ani „karbowanica“, ani „statut agrarny“ p. Rosenberga, ani zezwolenie na wydanie około 35 pisemek ukraińskich, propagujących pracę dla wielkości Niemiec, ani utworzenie „Akademii nauk“ w Kijowie czy zamiana „Radio-Kijów“ na „Radio-Ukraina“. Więcej natomiast Niemcy, jak dotąd, dać nie chcą. W najśmielszych nawet projektach niemieckich tworzenia federacji europejskiej pod kierownictwem politycznym i wojskowym Niemiec wymieniane są państwa bałtyckie, tatarskie, krymskie, kaukaskie, gruzińskie, ale o Białorusi i Ukrainie mówi się wyraźnie, że nie dojrzały one jeszcze do uzyskania autonomii w rodzaju tej, która nadana jest państwu bałtyckim.

Istotnie Ukraińcy nie uzyskali nawet tego rodzaju samorządu terytorialnego, ograniczonego, co prawda, ale posiadającego wszystkie stopnie z „Dyrektoriatem“, złożonym z miejscowych działaczy — jakie posiada Litwa, Estonia czy Łotwa. Ukraina jest dla Niemców jedynie i wyłącznie terenem eksploatacji, terenem ewentualnej kolonizacji przez chłopca niemieckiego, a przede wszystkim terenem świetnie nadającym się jako towar do przetargu i konszachtów politycznych z każdym państwem.

Taki jest rezultat ściślej, wieloletniej współpracy nacjonalistycznych działaczy ukraińskich z Niemcami, taka zapłata niemiecka za ich rolę agentów i dywersantów.

Dodatkowym zaś skutkiem ich polityki jest całkowite rozbicie społeczeństwa ukraińskiego na zwalczające się, bezsilne ugrupowania, tracące wpływy wśród zawiedzionego społeczeństwa. Z tego rozbicia zdaje sobie najwidoczniej sprawę metropolita Szeptycki, usiłujący dziś znowu w oparciu o Niemców szukać porozumienia kościoła greckokatolickiego z prawosławnym i apelujący na łamach „Kraikowskich Wisti“ do inteligencji ukraińskiej, aby go w tych zamierzeniach poparła. Jest to jednak rzecz niełatwa i sam zresztą Szeptycki zdaje sobie sprawę, że zjednoczenie obu kościołów jest sprawą dalekiej przyszłości, a co ważniejsze zrealizowanie jej wykracza poza ramy narodu ukraińskiego.

Ani Szeptyckiemu, ani radykalnym nacjonalistom spod znaku O.U.N. czy spod znaku Dmytra Palijewa i jego grupy, ani umiarkowanym nacjonalistom z U.N.D.O. (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne — grupa najsilniej reprezentowana w polskim Sejmie i w legalnej prasie ukraińskiej), — nie udało się zresztą rozszerzyć wpływów poza Wschodnią Małopolskę. Tak Wołyn jak i Ukraina przed -i za-dnieprzańską patrzyły i patrzą na miotanie się polityków z „Hałyczyny“ („Galicji“) z nieufnością i niechęcią podejrzewając, że głównym motorem ich działania jest nadzieja uzyskania posad w „Wielkiej Ukrainie“. Zaangażowanie się małopolskich kierowników ukraińskiej polityki w głęboki flirt z Niemcami i kompromitujące skutki tego flirtu mają tę dobrą stronę, że pozwalają całemu społeczeństwu ukraińskiemu ocenić wartość swych politycznych prowodyrów, jak i przejrzeć zamiary ich protektorów z nad Szprewy. Samo zaś społeczeństwo ukraińskie, rozbite i rozgoryczone, nie zdołało jeszcze, jak to wydaje się ze szczupłych zresztą informacji, które do nas dochodzą, odnaleźć jasnych, przewodnich wskazań dla swej polityki narodowej.

EGIPSKIE WSPOMINKI

Było to dawno, bardzo dawno. — Byliśmy wówczas w Egipcie na jednym z naszych m.p. Na horyzoncie rysowała się pyszna, orientalna panorama Aleksandrii, obramowana łukiem zatoki. Ku zachodowi biegł długi fiord zieleni, wrzynający się barwną plamą w pustynię. To najdalsza odnoga kanału nilowego, znaczone sylwetkami palm.

Morze było blisko. Czuto się jego obecność i myślało o nim w południowych godzinach, gdy gorący blask padał z zenitu białego nieba. — W odległości kilkuset metrów od plaży zmieniał się klimat. Mocny morski wiatr dął na strzępy nieruchome powietrze pustynne. Ach, jakąż to była rozkosz dobrać do tego pasa przybrzeżnego, gdzie panowała morska bryza i kończyła się spiekota martwych piasków.

Obóz nasz leżał w zasięgu morza. Grupy palm chwiały się nad namiotami. Środkiem biegła asfaltowa droga, którą tak często zasypawały lotnym piaskiem hamsiny. Zimowe burze piaskowe tworzyły zasy i w takie dni, gdy niebo jest brudno-fioletowe, a słońce podobne do ostro zarysowanego dysku z polerowanej miedzi — powiedzieć by można, że „...pada piasek“. Pada, jak u nas pada śnieg w czasie zameci. Wszędzie jest pełno ostrego pyłu — w oczach, w ustach, w menażce, w herbacie.

Z czasem, po kilku miesiącach, przywykliśmy, wrosliśmy mocno w ten piasek. Było nas mało, dziś śmiesznie pomyśleć, jak mało!

Regularność zjawisk i wydarzeń zaczęła osiągać niemal doskonałość. Punktualnie o 11.45 wychodziliśmy z redakcji na obiad. Dokładnie na 300-nym metrze „czarnej drogi“, wiodącej od morza, spotykaliśmy codziennie porucznika X., który szedł o tej godzinie ku miastu. Na pierwszym zakręcie wymienialiśmy ukłon z plutonowym Y, który w towarzystwie swego pieska szedł na kawę nad morze. Gdy mijaliśmy bramę obozu, w czeluściach namiotu wartowni ginęła właśnie skrzynia, którą deponowano co-dnia na czas obiadowej przerwy. — Pod sklepikiem stał samochód z Aleksandrii, z którego wyladowywano towary. Znowu ukłon i uśmiech i nie znaczące przyjacielskie: „Co słychać?“ Paręset metrów dalej sąd. Na drodze, dokładnie między świetlicą a kasynem podoficerskim, codziennie o tej samej godzinie i w tym samym miejscu mijamy naszych znajomych sędowników.

— Czotem!

— Czotem, wysoki sędzie!

— Co słychać!

Parę zdań i dalej, bo „zupa stygnie“.

Wszystko to powtarzało się z precyzją i gdybyśmy się pewnego dnia nie natknęli o wiadomej godzinie na przewidzianego w tym niepisanym programie znajo-

me go, przypuszczać by należało, że wydarzyło się nieszczęście.

A potem droga powrotna. Wracamy z obiadu. Upał, wszyscy w namiotach leżą bez ruchu. Idziemy, jak od miesięcy, jak zawsze, do sklepiku na pół czarnej. Wszystko z góry wiadomo. Przy stoliku na prawo siedzi sierż. O., pod oknem kapr. P., w drugiej „sali“ przy stole w rogu gra w brydża „żelazna czwórka“ z zapasowej, st. strzelec Z. oczywiście siedzi samotny i uczy się angielskiego.

Pijemy nasze pół czarnej i gwarzymy.

— Sierżant B. dostał list z kraju,

— Kapral P. pojechał do szpitala,

— Strzelec N. rozpoczyna urlop.

Wszystko jest ciekawe, wszyscy się znają, wszyscy wszystko o każdym wiedzą. Kiedyś pojawiły się w obozie dwie nowe „twarze“. Co to za jedni? — padało pytanie z ust do ust. To zakrawało na sensację, że jest ktoś w obozie, kogo się nie zna, o kim nic się nie wie. Okazało się, że było to dwóch marynarzy z „Warszawy“, którzy przyjechali do portu odwiedzić w obozie swych znajomych.

Równo, pracowicie, jak kostki w mozaice, układały się dni, tygodnie, miesiące. Byliśmy takim małym polskim miasteczkiem w egipskiej pustyni. Stanowiliśmy miniaturową bazę nielicznej, ale bitnej polskiej armii walczącej w Libii. Wówczas jakże plastycznie wycenialiśmy wartość każdego polskiego żołnierza. Bo było nas przecież tak mało, wszystko było takie miniaturowe, kameralne. Brygada potrafiła „mnożyć się“ w akcji i dokonywała czynów bynajmniej nie miniaturowych, ale przecież, gdy naptywały wieści o stratach, posępny smutek ogarniał nas wszystkich. Było nas przecież tak niewiele — nie mogliśmy topnieć.

Wieczorami chodziło się nad morze. Tęsknota lubi patrzeć w dal, kocha samotność. Oparci o balustradę starsi panowie, zwykle nie bardzo zdrowi, ci „z tyłów“, po przepracowanym dniu patrzyli smutno w ciemniejącą toń wody. Wy młodzi z Tobruku i z pod Gazali, wy młodzi z pod Archangielska, nie znacie takich nastrojów. Obcy wam jest smak gorzkich godzin wspominań i melancholia zadumy.

Tak to było w owych czasach odległych, zamierzchłych. Teraz tak jest inaczej, tak gwarniej, tak różniej, że tamte egipskie czasy wydają mi się niemal historyczną epoką. Rozsypali się ludzie, rozproszyli, wielotysięczne obozy rosną — przybywa i przybywa polskiego wojska. Okres kameralny, rodzinny — jeżeli wolno się tak wyrazić, skończył się definitywnie.

My „starzy weterani“ wojska polskiego na Środkowym Wschodzie z wzruszeniem patrzymy na ten rozrost naszej armii, a czasem wspominamy też z ciężką naszą początki...

Mr.

HUMOR ANGIELSKI

ZBĘDNA POMOC

— Co by pani zrobiła, gdybym panią teraz pocałował — zapytuje młody wojak.

— Co? Zacząłabym wołać o pomoc.

— Zupełnie zbędne, przecież ja do tego nie potrzebuję żadnej pomocy.

(„When Tommy laughs“)

ŚWIETNIE DOPASOWANE

Podoficer mundurowy (do rekruta): Masz synku błuzę, która leży na tobie jak rękawiczka.

Rekrut: Tak jest, melduję posłusznie, właśnie rękawy sięgają do czubków palców.

(„When Tommy laughs“)

GRZECZNY

Ona: A teraz, czy może pan odgadnąć ile mam lat?

On: Nie jestem w stanie, ale przecież pani wcale nie wygląda na swoje lata.

(„When Tommy laughs“)

ĆWICZENIA SPADOCHRONIARZY

„Somewhere in England“ instruktor — sergant-major — poucza w samolocie spadochroniarza:

— Wyskakujecie, liczycie do 10-ciu i pociągacie za sznurek. Jeśli spadochron nie otworzy się — liczycie jeszcze raz do 10-iu i drugi raz pociągacie za

sznurek. Pamiętajcie — że na dole są już przygotowane motocykle oraz wózki z amunicją. Pierwsza rzecz po wylądowaniu rozejrzeć się za nimi!

Na komendę „go!“ — skakać po kolei.

Skoczek Nr. 5 wyskakuje, liczy do 10 i ciągnie za sznurek. Spadochron nie otworzył się. Zgodnie z instrukcją, odlicza drugi raz do 10-ciu i znowu ciągnie. Mimo to spadochron nie rozwija się.

— Oto nasza organizacja — myśli rozgoryczony — gwarantuję, że na dole na pewno jeszcze nie przygotowali motocykli i elkaemów! I szukaj ich teraz!

(„Co słychać“)



Występ Czołówki Teatralnej w Dywizji Strzelców Karpackich

ZAWIADOMIENIA SEKCJI O. i K.

PIŁKI DO GRY

Oddziały, które mają zorganizowane drużyny piłki nożnej, mogą otrzymać piłki do gry w Sekcji Oświaty i Kultury D-twa W.P.Ś.W.

ZGŁOSZENIA SPORTOWCÓW Z ROSJI

Sekcja Oświaty i Kultury D-twa W.P.Ś.W. prosi sportowców czynnych

i działaczy sportowych, którzy przybyli z oddziałami polskimi z Rosji, o przesłanie imiennych zgłoszeń (nazwisko, imię, przydział, rodzaj uprawianego w kraju sportu, przynależność klubowa) oraz o informacje o losie znanych sobie sportowców pod adresem: *Polish Forces M.E. — Cairo — Egipt — Sekcja Oświaty i Kultury D-twa W.P.Ś.W.*

DROHOBYCZANIE

Drohobyczanie, którzy przybyli z Rosji, zechcą skomunikować się z Sekcją Oświaty i Kultury D-twa W.P.Ś.W.

POSZUKIWANIA

Józef Chrzanowski poszukuje kpt. *Midora*, st. wachm. *Pawła Sobczaka* i kpr. *Stanisława Adamskiego*, którzy byli w Rosji, celem udzielenia wiadomości o ich rodzinach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

B. Raw. — Dziękujemy za „Listy z Drogi“. Właśnie jednak kończymy dłuższy cykl przygód z podróży. Nie możemy tym tematem pisma przeciążyć.

Miecz. K. — Dziękujemy za wiersz. Drukować nie będziemy.

Henr. W. — Za list i wiersz dziękujemy. Zamieścić w tej formie nie możemy. W sprawie możliwości pracy

teatralnej radzimy porozumieć się z oficerem oświatowym swego oddziału.

Pchr. Zn. — Dziękujemy za felieton, prawdopodobnie zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. Prosimy o nas nie zapominać.

Ppor. Z. W. P. — Za oba wiersze dziękujemy. Pełne szlachetnego sentymentu, zamieścić jednak nie możemy.

HUMOR ANGLIJSKI



M. Walentynowicz

ODPOWIEDZI REDAKCJI